

11 > **ROZMOWA.** Krystyna Janda specjalnie dla **nto**: opowiada o tym, dlaczego wszystko poświęciła, żeby kupić teatr.

SPRZEDAJĘ UCZUCIA



Krystyna Janda do Andrzeja Balcerka: – Zasadnicza różnica między naszymi biznesami jest taka, że ja sprzedaję uczucia, a pan – beton.



TEATR MÓJ WIDZĘ OGROMNY

Rozmowa z **KRYSTYNĄ JANDĄ**

ANDRZEJ BALCEREK
magazyn@nto.pl

To było wielkie towarzyskie wydarzenie. Uznana aktorka, gwiazda kupiła zrujnowane kino „Polonia”, żeby je odbudować, mieć własną scenę. Płótkowała o tym cała warszawka, pisały gazety, mówiły telewizje.

- Niedawno przyznała pani w swoim internetowym dzienniku: „Te ostatnie dwa lata zmieniły moje życie”. Jak bardzo?

- Zdarzają się wciąż chwile, w których chce mi się płakać. Myślę: co ja zrobiłam, chyba zwariowałam, wzięłam na siebie taki obowiązek. Pieniądzy ciągle brakuje. Teatr Polonia ma tylko 266 miejsc na widowni. Mamy wciąż pełną salę, to prawda, możemy się utrzymać, ale nie starczy nam już na wyprodukowanie nowych spektakli. To ciągle stres. Siedzę tu, w tym teatrze, od świtu do nocy. Zawsze dużo pracowałam. W różnych teatrach, filmie, telewizji. Nie przypuszczałam, że kiedyś będę zmuszona pracować jeszcze więcej. W „Polonii” dzień zamienia się w noc niezauważalnie dla nas wszystkich. Próby, spotkania, rozmowy, scenografowie, reżyserzy, aktorzy, autorzy sztuk, którzy bez przerwy coś mi przynoszą do czytania. Do tego często około 8-10 razy w miesiącu gram wieczorami, na deser. Ale z drugiej strony mam też ogromną satysfakcję, że ten teatr działa, że codziennie gramy, często dwa razy jednego wieczora. A wtedy, kiedy gramy, wszelkie problemy stają się nieważne.

- Dlaczego w ogóle zdecydowała się pani tak „wybić na samodzielność”?

- Od dłuższego czasu czułam, że muszę coś zmienić. Grałam w „Powszechnym”, w operze i w Teatrze Komedia, Teatrze Studio. Zaczęłam sama produkować sztuki, dość dużo reżyserować, ale nie miałam swojego miejsca. Nie podobało mi się to. Oczywiście, nie myślałam o własnym teatrze, raczej o wynajęciu jakiejś sa-

li. Wtedy dowiedziałam się, że kilka warszawskich kin idzie na przetarg, bo są nieopłacalne. Poszłam do dyrektora, który zarządzał tą masą upadłościową, a on powiedział: wynająć pani nie mogę, ale mogę sprzedać. Jest takie kino „Polonia”, małe i strasznie zapuszczone, ale zasłużone dla Warszawy, pierwsze otwarte po wojnie, w nim swoją premierę miał „Skarb”. Niech pani przystąpi do przetargu.

- Nie było się nad czym zastanawiać?

- Żarty! Pamiętam, po miesiącu wewnętrznych dywagacji i burzy w mózgu, pewnego dnia nad ranem zbudziłam męża i oświadczyłam: słuchaj, chciałabym, żebyśmy kupili to kino i zrobili tam teatr, ale musimy w to zainwestować wszystkie nasze pieniądze i sprzedać nasz warszawski dom. A on... bez wahania się zgodził. Muszę przyznać, że zrobiło to na mnie wrażenie. Mój mąż tydzień później sprzedał nasz dom i zaczął budowę. Każdy inny facet pewnie by powiedział: chwileczkę, możemy zaryzykować, ale nie wszystko. A my wyczyściliśmy nasze konta, zlikwidowaliśmy lokaty, zostawiliśmy sobie tylko dom w Milanówku, gdzie mieszkamy z moją mamą i dzieć-

> 12



**ZBUDZIŁAM MĘŻA
I OŚWIADCZYŁAM: –
SŁUCHAJ, CHCIAŁABYM,
ŻEBYŚMY KUPILI TO
KINO I ZROBILI TAM
TEATR, ALE MUSIMY
W TO ZAINWESTOWAĆ
WSZYSTKIE NASZE
PIENIĄDZE. A ON... BEZ
WAHANIA SIĘ ZGODZIŁ.**



mi. Mąż zrobił jeszcze więcej. Odmówił kręcenia dwóch filmów za granicą (jest operatorem filmowym), żeby budować ten nieszczęsny teatr. Mieliśmy oczywiście kierownika budowy i architektów, ale jednak bez kogoś, kto by tu chodził i wszystkiego doglądał od rana do nocy, praca by nie postępowała w takim tempie. Mąż dla mnie jakby zdecydował się na wszystko, postawił wszystko na jedną kartę, na mnie. Zrezygnował nawet ze swoich planów zawodowych. Myślę, że trudno o wspanialszy dowód uznania i zaufania.

- Nie żałowała pani jego i swojej decyzji, kiedy pierwszy raz zobaczyła, czego stała się właścicielką? Wystarczyło popatrzeć na zdjęcia, żeby się zorientować, że „Polonia” to naprawdę upadłe kino.

- Zrobiliśmy jeszcze więcej, ten teatr to fundacja, a jak wynika z prawa ustanowionego w tym kraju, fundacje podlegają państwu, a salę, którą zakupiliśmy, przekazaliśmy z zapisem w księgach wieczystych na teatr. Zrobiliśmy to, bo tak było najkorzystniej dla teatru, jego działalności. Hala teatru należy do miasta, wynajmujemy je, ale remont musieliśmy zacząć właśnie od nich. Wszyscy, łącznie z urzędnikami miasta, pukali się w głowę. Sala kinowa, którą kupiliśmy, była w strasznym stanie i musiała także ulec całkowitej przebudowie. Oprócz tego, że w piwnicy stała woda od dwóch lat, bo kino było zamknięte, bez ogrzewania, na ścianach był grzyb, wszędzie okropny fetor, układ sali, balkon nie nadawał się dla teatru (w dawnym kinie „Polonia” ekran był pod sufitem, a scena jest na dole), trzeba było generalnie zmienić wszystko. Ale mnie początkowo nie nie przerażało, bo wiadomo, kobieta nie ma wyobraźni.

- Ze znaną twarzą, z nazwiskiem i tak na pewno było pani łatwiej znaleźć sponsorów, pokonać wszystkie biurokratyczne przeszkody.

- Na etapie załatwiania tych wszystkich papierków, pozwoleń, na pewno dzięki mojemu nazwisku i dorobkowi zawodowemu było łatwiej i szybciej. Sponsorów nie zabrakło także, choćby w krytycznym momencie tuż przed otwarciem dużej sceny, kiedy zaapelowaliśmy o wykupywanie naszych teatralnych foteli. Kupiono te fotele w dwa tygodnie. Dziś przytwierdzone do nich tabliczki wskazują na fundatorów. Jeden wykupiła Jolanta Kwaśniewska, drugi moja mama, cztery ksiądz Jankowski, biuro prawnicze... cały rząd. Wykupiło je wiele prywatnych, wcale niezamożnych osób. Sprzedały się wszystkie. Teraz widzowie w przerwie spektakli chodzą i czytają te tabliczki.

- No, to ominęły panią różne niespodzianki, przeszkody, na które jak na miny natykają się co rusz biznesmeni w Polsce.

- Niezupełnie. Jest wiele spraw nie załatwionych. Wciąż nie możemy dogadać się ze wspólnotą mieszkaniową. Do naszego teatru wchodzi się przez podwórko. I to jest problem. Ciągłe ktoś zdejmuje nam szyldy, pluje z okien na publiczność, która wchodzi do teatru. O byle co podają nas do sądu. Jesteśmy uciążliwym lokatorem, dlatego że tu przez kilka lat nic się nie działo. Wszyscy się przyzwyczaili do spokoju, a teraz co wieczór do teatru przychodzą tłumy. Tu mieszkają głównie starsi ludzie. Ich nie obchodzi, kto ten teatr prowadzi, po co to, dlaczego. Kiedyś mia-



Krystyna Janda i Andrzej Balcerek, szefowa teatru oprowadza gościa po swoim królestwie.

ła taką sytuację: starszy mężczyzna wrzeszczał do mnie: - Kim pani jest, no, kim pani jest!? A ja już kompletnie bezradna i załamana, nie wiedząc, jak mu najlepiej wytłumaczyć, kim jestem, krzyknęłam: - Ja jestem w encyklopedii!

- Pomogło?
- Nie.

- Bo w biznesie nie ma sentymentów, nie ma przyjaciół.

- W teatrze jest chyba trochę inaczej niż w każdym innym biznesie. Fakt, tu w okolicy nie mam zbyt wielu sprzymierzeńców, oprócz ludzi, którzy tu ze mną są i pracują, a to jest pięć czy siedem osób. Ale za to znacznie więcej przyjaciół mam na widowni, po drugiej stronie sceny. Oni wychodzą stąd uśmiechnięci albo zapłakani, często wzruszeni. I dziękują za te wzruszenia, piszą listy, wpisują się do księgi. Przychodzą! Czasem po dwa razy na to samo przedstawienie, byle tu przyjść, byle być z nami. Zasadnicza różnica między naszymi biznesami jest taka, że ja sprzedaję uczucia, a pan - beton.

- Gratuluję i zazdroszczę, ale przecież pani też musi zapłacić za prąd, opłacić sprzątaczkę...

- ... no oczywiście, to są tak zwane koszty stałe.

- O, już używa pani języka biznesu.

- Musiałam się trochę nauczyć. Z tym, że nie jestem tu sama. O teatr od strony organizacyjnej i finansowej dba dyrektor, pan Roman Osadnik, który wcześniej prowadził Teatr Rozrywki w Chorzowie. Tyle że tam miał 170 etatów, tu ma 5 i wszyscy robią wszystko, nie oglądając się na siebie, z konieczności i miłości do tego miejsca. Ja zajmuję się stroną artystyczną, jestem też

szefem literackim, aktorką, adaptatorką, reżyserem. Bo jestem pod ręką, bo ja też firmuję sobą. Muszę sprawić, żeby ludzie do nas przychodzili, kupowali bilety. Musimy, żeby się utrzymać, grać często, dwa, nawet trzy razy dziennie. Dajemy choćby rano spektakle dla dzieci. Odkąd u ministra Giertycha Brzechwa jest na cenzurowanym, my mamy full na widowni, bo tak się złożyło, że gramy od jakiegoś czasu „Pchłą Szachrajkę”. Ale dzieci nie zapłacą drogo za bilet. Dlatego musimy grać jeszcze tzw. popołudniówkę i wieczorne przedstawienie. I mieć na afiszu coś awangardowego, i komedię, i klasykę... Oferta musi być szeroka, żeby publiczność wychodziła zadowolona, a jednocześnie teatr miał prestiż. Bo oczywiście mogłabym grać same farsy od rana do wieczora i mniej się martwić, ale nam nie o to chodzi. Chcę za wszelką cenę robić teatr ważny, wartościowy, aktualny, taki, który sama chciałabym zobaczyć.

- W swoim teatrze ma pani poczucie wolności?

- Wolności artystycznej, tak. Wcześniej musiałam respektować wybory repertuarowe i stylistyczne innych. Nawet ze statusem gwiazdy w teatrze, jeśli się odmówi trzech ról w sezonie, umowa staje pod znakiem zapytania, to nieetyczne i nielojalne w stosunku do zespołu i teatru. Teraz mój wysiłek, lojalność do tego miejsca, zaangażowanie i praca nie zna granic, ale jestem w sobie.

- Wiem, że lubi pani Włochy, kocha klimaty południowe, co roku spędza z rodziną urlop w Toskanii. Bez dostępu do internetu i telefonu komórkowego?

- Na to nie mogę sobie pozwolić. Ja tylko przenoszę pracę w piękniejsze okoliczności przyrody. Tam



GIERTYCHOWI CHĘTNIE UDZIELIŁABYM KILKU RAD: DZIECIOM WARTO WIERZYĆ, UFAĆ, DAĆ IM SWOBODĘ. I NIE RUJNOWAĆ IM RAZ UŁOŻONEGO ŚWIATA I SYSTEMU WARTOŚCI

zabieram też ze sobą walizkę książek. Szczerze mówiąc, wcale nie sprawia mi to przykrości. Leżę na plaży i czytam niemal bez przerwy. A wieczorem jadę na dobrą kolację, czasem spaceruję po Sienie albo dwie godziny jeżdżę rowerem po lesie pińowym.

- Czy dziś, poza tym teatrem, jest jeszcze coś, co nadaje życiu sens?

- Rodzina. Mąż, troje dzieci, wnuki, mama. Mam dwóch synów. Jeden ma 16 lat, drugi prawie 18. Są w bardzo trudnym wieku. Potrzebują nas bardzo, właśnie teraz.

- Minister Giertych podzieliłby pewnie pani obawy i udzielił kilku cennych rad.

- To ja bardzo chętnie udzieliłabym mu kilku. Dzieciom warto wie-

rzyć, ufać, dać im swobodę. I nie rujnować im raz ułożonego świata i systemu wartości, nie zabierać i nie ośmieszać autorytetów, nigdy nie kłamać, nie być cynicznym i nie zmieniać zdania, bo one i kłamstwo, i cynizm wyczują natychmiast. Powiedziałabym mu też, że wielkie słowa - ojczyzna, patriotyzm, Bóg - używane w nieodpowiednim kontekście i zbyt często przestają mieć znaczenie, tracą swoją wagę i wielkość.

- Swoje metody wychowawcze sprawdziła już pani na córce Marii Seweryn, również aktorce.

- Tak i dopiero dziś rozumiem, że jest w tym coś pięknego, do niedawna rozpaczalam z tego powodu. Moja córka została aktorką jakby przypadkowo. Zawsze słyszałam od niej, że chce być „lekarzem bez granic”, wylawiać koreańskie dzieci z morza. Takie było jej marzenie. I nagle pewnego dnia mój przyjaciel, niestety, wziął ją do filmu, stanęła na planie i wsiadła. Wiedziałam już po pierwszym dniu zdjęciowym, że złapała bakcylię. Z drugiej strony to, że była przy mnie, dało jej zupełnie inny stosunek do zawodu. Ona nigdy nie „szalała” z powodu sukcesów, nie łudziła się złudnymi nadziejami, pracuje imponująco, zawsze wybiera drogę trudniejszą, zawsze umiała siebie surowo ocenić. Ale, to zabawne, zmieniło się też wiele rzeczy w tym zawodzie od czasów mojej młodości. Mnie na przykład zawsze uczono, że aktor nie ma prawa wejść do teatru i wyjść tymi samymi drzwiami do publiczności, bo się ludziom odbiera złudzenia. A moja córka, która gra w tym teatrze, bardzo lubi pracować organizacyjnie, w biurze, lubi sobie usiąść w kasie i sprzedawać bilety. Uwielbia rozmawiać z ludźmi, a oni, jakby w zamian, przychodzą tu jak do domu. Mnie też zagađują, opowiadają: byliśmy tutaj, jak jeszcze była taka dziura w ziemi, a teraz to wszystko się zmieniło. To fantastyczne.

- Z internautami dzieli się pani często refleksjami o naszym „tu i teraz”. Te refleksje są raczej mało budujące. Nie podoba się pani IV RP?

- Kiedyś się „angażowałam”, moja kariera zawodowa była silnie związana z polityką, przede wszystkim za sprawą filmów Andrzeja Wajdy. Ale odkąd mamy demokrację, udzielam się wyłącznie charytatywnie. Wspieram zwłaszcza dzieci: autystyczne, niepełnosprawne, ociemniałe. Zagrałam autystyczną 10-letnią dziewczynkę po to, żeby pomóc Fundacji Synapsis. A gdyby pan mnie zapytał, czy dzisiaj użyłabym swoich umiejętności zawodowych, swojego nazwiska, żeby pomóc jakiejś partii, którejkolwiek z opcji politycznych, to mówię: nie, nie kiwnęłabym palcem.

- Ale od polityki dziś trudno się odciąć. Lustracja dotyczy także artystów. I są pierwsze ofiary. Niedawno w kraju było głośno o aktorze Macieju Damięckim. Nie w kontekście jego filmowych czy teatralnych ról. Wytknięto mu, że był agentem SB, donosił na kolegów.

- Inwigilacja naszego środowiska jest absurdem, bo to są tylko igryzka, które mają odwrócić uwagę od spraw poważniejszych. A ja w ogóle jestem zwolenniczką grubej kreski. Zawsze uważałam, że należy spalić archiwum. Co było, to było. Nie otwierać tej „puszki z Pandorą”, jak mówił Władysław Gomułka.

ANDRZEJ BALCEREK

magazyn@nto.pl

nto